



# ERYNIE

MAREK KRAJEWSKI

znak



# ERYNIE

MAREK KRAJEWSKI

Projekt okładki  
Katarzyna Borkowska  
kb-design@o2.pl

Fotografia na pierwszej stronie okładki  
Copyright © Gerard Fritz/Photographer's Choice  
/Getty Images/Flash Press Media  
Copyright © Roberto A. Sanchez/www.istockphoto.com  
Copyright © Duncan Walker/www.istockphoto.com

Fotografia na czwartej stronie okładki  
Wojciech Karliński

Redakcja  
Karolina Macios

Adiustacja  
Urszula Horecka

Korekta  
Katarzyna Mach  
Aleksandra Małyśiak

Projekt typograficzny  
Daniel Malak

Łamanie  
Pro Art Studio Michał Madejski

Przekłady cytatów:

- s. 5: Robert Graves, *Mity greckie*, tłum. H. Krzeczkowski, Warszawa 1967  
s. 21: Michael Conelly, *Ciemność mroczniejsza niż noc*, tłum. E. Horodyska,  
Warszawa 2008  
s. 117: Mistrz Eckhart, *Traktaty*, tłum. W. Szymona OP, Poznań 1987  
s. 245: Ajschylos, *Eumenidy*, tłum. M. Krajewski

Copyright © by Marek Krajewski

ISBN 978-83-240-1400-2

znak

Książki z dobrej strony: [www.znak.com.pl](http://www.znak.com.pl)  
Społeczny Instytut Wydawniczy Znak, 30-105 Kraków, ul. Kościuszki 37  
Dział sprzedaży: tel. (12) 61 99 569, e-mail: [czytelnicy@znak.com.pl](mailto:czytelnicy@znak.com.pl)

Erynie były personifikowanymi wyrzutami sumienia, (...) które (...) mogą zabić człowieka (...). Człowiek taki albo oszaleje (...), albo też, tak jak Orestes, zawinie głowę w szatę i nie będzie przyjmował stawy ani napoju, aż umrze z głodu, i dzieje się tak, nawet jeśli nikt nie wie o jego winie.

---

Robert Graves, *Mity greckie*



## PROLOG



OSTATNIE, JEDENASTE UDERZENIE ratuszowego zegara rozchodziło się powoli w drżących falach powietrza. Upał sięgał trzydziestu pięciu stopni. Kwiaciarka na placu Solnym skierowała ku niebu gumowy wąż, przytknęła palec do jego wylotu, rozpraszając tryskającą wodę w szereg cienkich, strzykających strumieni. Jej kilkuletnia córka, rozebrana do samych majtek, wbiegła z radosnym okrzykiem pod zimny prysznic.

Pod plastikowymi markizami lodziarni La Scala, topiącymi się prawie od słońca, temperatura była wyższa o kilka stopni. Kelnerka Patrycja Wójciak obserwowała dziecko chłodzące się pod prowizorycznym prysznicem i wycierała w fartuszek spocone dłonie. Wydawało się jej, że stojący na środku placu spiczasty monument kołysze się w wodnej mgłę rozpylanej przez gumowy wąż.

Patrycja wiele by dała, aby móc oderwać się od drzwi cukierni, w których stała dla ochrony klientów przed natrętnymi żebrakami. Wiele by dała, aby zdjąć z siebie kelnerskie ciuchy i rzucić się na ruchliwą zastawę wody. Chciała zmyć z siebie woń klubu muzycznego, która nie dała się usunąć porannym natryskiem, chciała poczuć krople na zmęczonych od tańca łydkach i udach oraz na piersiach, tak namiętnie wczoraj ugniatanych i pieszczonych. Popatrzyła na aluminiowe błyszczące stoliki i dotkliwie odczuła cały absurd swej przedpołudniowej bezużyteczności. W La Scali nie był o tej porze potrzebny ani strażnik, ani kelner. Przy stoliku nie siedział bowiem żaden klient, a żebracy pochowali się przed piekotą w swych norach.

Pięćdziesięcioletnia kobieta, która weszła w duchotę cukiernianego ogródka, przypomniała Patrycji Wójciak o jej podstawowych obowiązkach. Klientka usiadła i zaczęła nerwowo przetrzucać rzeczy w torebce. Dobyła z niej papierosy i srebrzystą małą zapalniczkę. Patrycja ze służbowym uśmiechem stanęła na

baczność przy stoliku. Klientka zmierzyła ją wzrokiem i wysokim, zgrzytającym głosem zażądała cappuccino i wody mineralnej gazowanej, dodając przy tym, że woda ma mieć rozsądną cenę, bo za żadne wstrętne perrier nie zapłaci ani złotówki. Patrycja odeszła od stolika i rugała w myślach impertynencką klientkę. Ty stara ruo, myślała dziewczyna, ty spieczona solaro, na jakim bazarze kupiłaś sobie te tandetne posrebrzane bransoletki i te chińskie klapki? Myślisz, że jesteś ładna w tej mini i tej spranej, rozciągniętej bluzce? Jakiemu facetowi się spodoba twój spieczony i kościsty dekolt? Oj, babciu, myślisz, że ciemne okulary ukryją twoje wory? Trzeba było wczoraj tyle nie chlać, stara lampucero, tobyś tak nie wyglądała!

Po chwili stawiała przed klientką kawę i wodę mineralną. Dłonie kobiety drżały, gdy przykładała do papierosa płomień zapalniczki. Nie raczyła podziękować za napoje. Patrzyła rozbiegającym wzrokiem w stronę przejścia do Biblioteki Uniwersyteckiej, skąd miał nadejść człowiek, z którym zgodziła się dziś spotkać. Zaciągając się mocno, zrozumiała, że jej decyzja była pochopna. Że najchętniej zapomniałaby o tym człowieku.

Nadszedł po kilku minutach, lecz z przeciwnej strony – spod pubu John Bull. Dłoń kobiety drgnęła, a puszysta pianka cappuccino spłynęła po filiżance na błyszczący blat, kiedy mężczyzna stanął obok. Dotknął jej dłoni i uśmiechnął się przyjaźnie. Kobieta zacisnęła usta i cofnęła rękę, jakby ją poparzył. Stolik zachwiał się niebezpiecznie.

Patrycja podeszła do mężczyzny i zanim ten otworzył usta, aby złożyć niezwykle zamówienie – potrójny wyciskany sok pomarańczowy z sosem tabasco – jeden rzut oka wystarczył tej spostrzegawczej kelnerce, by go bezbłędnie ocenić. Uznała klienta za świetnie utrzymanego pana pod siedemdziesiątkę. Gładka skóra twarzy i szyi, najwidoczniej często poddawana zabiegom kosmetycznym, miała nieliczne brązowe przebarwienia

i wydzielala przyjemny zapach drogiej wody kolońskiej, na nos Patrycji - Joop lub Hugo Bossa. Jeden przegub mężczyzny opinała bransoleta, drugi zaś - duży, elegancki zegarek. Oba przedmioty były koloru srebra, lecz ich blask szybko utwierdził Patrycję w przekonaniu, iż budulcem biżuterii jest białe złoto. Klient zdjął lniany kaszkiet i otarł z potu łusą głowę. Jego towarzyska, drżąc mimo spiekoty, przyglądała mu się uważnie i prawie połykała cienkiego papierosa.

Oż kurde, ale dzisiaj wszyscy mają kaca, pomyślała kelnerka, stawiając przed mężczyzną ogromny puchar mętnego soku.

Myliła się. Z ich trójki skacowana była tylko ona sama, choć na to nie wyglądała, nie zaś klientka, choć tej akurat - wnioskując z jej wyglądu - można by śmiało przypisać ten stan. Jej niemile widziany towarzysz natomiast ani nie był przepity, ani w niczym przepitego nie przypominał, choć większość dorosłego życia zeszała mu właśnie na leczeniu kaca.

Patrycji zdawało się, że pod rozpalonymi markizami zaczyna się się kłębić jakieś chemiczne wyziewy. Zamknęła usta, a palcami ścisnęła zaczerwienione nozdrza. Wbrew zasadom kelnerskiego zachowania usiadła przy wolnym stoliku. Po chwili nabrała powietrza i odetchnęła z ulgą. Wciąż działał biały proszek, zamknięty w przezroczystej kapsułce, którą tyknęła nad ranem. Nie chciało się jej spać, nie chciało się jeść, a wyostrzone zmysły jak niezawodne receptory wyłapywały najcichsze dźwięki i najłżejsze zapachy. Żadne słowo z rozmowy pomiędzy jedynymi klientami cukierni nie uszło uwadze Patrycji.

- Dobrze wyglądasz - powiedział mężczyzna do swej towarzyski.

- Daruj sobie - prychnęła kobieta - te kiepskie komplementy. Może robią one wrażenie na twojej kolejnej żonie.

- Nie robią. - Mężczyzna z rozdrażnieniem odsunął popielniczkę. - Tym bardziej że twoja następczyni nasłuchiwała się już

tylu komplementów, że nie robią na niej wrażenia nawet te... najbardziej wyszukane.

- Po co mnie tu zaprosiłeś? - Kobieta wypła resztkę cappuccino. - Żeby mnie zdołować? Żeby mi pokazać, że jestem stara i brzydka? Spójrz na siebie, dziadu. Gdyby nie kasa, żadna nie zbliżyłaby się do ciebie na odległość metra. Czuć od ciebie rozkładem spod tego Gucciego.

- Tak, masz rację. - Głos mężczyzny zadrżał. - Moja choroba sięga bardzo głęboko, prawie grobu. Masz rację, śmierzę jak trup.

Patrycja aż się wzdrygnęła. Nie chciała słyszeć takiej rozmowy. Tego lipcowego poranka zniósłaby wszystko, byleby nie być świadkiem żadnego ludzkiego dramatu, byleby nie słyszeć jęczenia jakiejś starej rury i jej eksmęża, który usiłuje swój uwiad ukryć pod dobrymi kosmetykami i biżuterią z białego złota. Dziewczyna nie miała jednak wyboru i musiała tkwić w swym ogródku. Oto spod kamienicy Pod Murzynem szedł znany jej dobrze mały ulicznik z kilkoma ukradzionymi różami, który często niepokoił klientów cukierni, zachęcając panów do kupienia kwiatka towarzyszącym im paniom. Patrycja musiała zatem pozostać na swym posterunku, odpędzić chłopaka i tym samym wysłuchiwać tych starych ludzi, którzy w sierpniowym upale nie mieli nic lepszego do roboty niż rozdrapywać swe strupy.

- Wiem, że nie chciałaś się ze mną spotkać. - Głos mężczyzny był już spokojny. - Wiem, co ci przypominam. Bezsenne noce, kiedy czekałaś na mnie, a ja wracałem nad ranem, śmiejąc dziwkami i nieprzetrawioną wodą. Przypominam ci chwile, kiedy budziłem cię o trzeciej w nocy i w jakiejś chorej ekspiacji podstawiałem ci pod nos jajecznicę. Ty jej nie chciałaś jeść, a ja, urażony, dotknięty do żywego, zraniony w swym dobrym, szczerym i płaczącym sercu, wylewałem ci na twarz gorące jaja na pomidorach.

Patrycja wstała gwałtownie i ruszyła w stronę ulicznika z kwiatami, który już-już zbliżał się do cukierni. Chłopak natychmiast obszedł stoliki szerokim łukiem, pokazując kelnerce wyciągnięty środkowy palec.

- Muszę ci o tym mówić. - Mężczyzna chwycił swoją towarzyszkę za nadgarstek. - Tak zalecił mój terapeuta. Jeśli mnie nie wysłuchasz, wrócę do Warszawy i będę dalej chlał.

- Szantaż, co? - Jej szyja obłana była purpurowym rumieńcem. - Skąd ja wiem, czy mówisz prawdę o swojej terapii? A nawet jeśli nie kłamiesz, to która to już terapia? Siódma, ósma? Straciłam rachubę. W czasie naszego małżeństwa byłeś chyba na dwóch! A poza tym, co ty sobie, kurwa, myślisz? Że będę zносиła twoje chore wspomnienia, których nie chcę słuchać? Jakies jaja na pomidorach? Tylko dlatego, że tak zalecił ci jakiś terapeuta? Jakiś porąbany psychiatra?

Patrycja zaczęła się zastanawiać, jak zwrócić uwagę kobiecie, aby nie przeklinała. Usiadła kilka stolików dalej, lecz jej słuch, wyostrzony przez koks, wyłapywał teraz nawet szept, do którego mężczyzna zniżył swój głos.

- Nie krzycz, proszę. Po tobie nie miałem żadnej innej żony. Mówiąc o twojej następczyni, myślałem o flasce. O gorzale. To właśnie tej pani prawi komplementy cały ród alkoholików. To właśnie o niej myślałem. Ale i z nią nie mam stosunków od miesięcy. - Kobieta milczała. - Wiem, że śmierdzą trupem. - Wypił ostatni łyk ostro doprawionego soku. - Ale zanim prześmierdnę na amen, to... posłuchaj mnie.

- Mów, słucham. - Spojrzała na zegarek. - Mam jeszcze godzinę. Tyle, ile prosisz. Potem muszę wracać do redakcji.

- Mój terapeuta jest psychologiem, nie zaś byłem alkoholiczkiem. On leczy przyczyny alkoholizmu, nie jego skutki. Nie mamy czasu. Muszę gdzieś z tobą pojechać. Zaufaj mi. To nam niewiele zajmie. Opowiem ci wszystko po drodze. Chodź, tu mam

auto, niedaleko, w hotelu Dorint. Musimy tam jechać. Mogę panią prosić? – Zwrócił się do Patrycji, nie czekając na odpowiedź swojej byłej żony.

– Następnym razem, kiedy się zobaczymy – wyszczała kobieta – to na twoim pogrzebie. Przyjdę zobaczyć, jak cię ubrali do trumny. Czy krawat pasuje do marynarki. A teraz jest przedostatni raz.

– Reszta dla pani. – Uśmiechnął się do Patrycji, ukazując lśniącą biel zębów.

– A teraz mów, dokąd jedziemy? – Kobieta schowała papierosy do torebki.

– Mówiłaś coś o pogrzebie? Zawsze podziwiałem twoją intuicję. Otóż jedziemy na cmentarz. Ty i ja.

– Nie jadę na żaden cmentarz.

– Proszę cię, abyś pomogła mi wyjść z choroby alkoholowej.

– Nigdzie nie jadę – powtórzyła uparcie, zaciskając dłoń na torebce.

– Coś za coś. – Uśmiechnął się przebiegle. – Ty pojedziesz ze mną, a ja opowiem ci historię, którą będziesz mogła opisać albo sfilmować. To będzie świetna rzecz i nie będziesz już dłużej pisać o dziurach w moście!

– Mów dalej, jeszcze się nie zgodziłam. – W oczach kobiety pojawił się nikły błysk zainteresowania.

– Pamiętasz, nakręciłem kilka lat temu taki cykl dokumentalny o ludziach, którzy po latach odkryli swoją prawdziwą tożsamość?

– Pamiętam – odpowiedziała niechętnie. – Mój naczelny kazał mi nawet go zrecenzować, ale odmówiłam.

– Kręcę dalszą część tego cyklu... Opowiem ci o bohaterze pierwszego filmu... Tobie mogę powierzyć jego reżyserię!

– Coś musisz jednak dodać, żebyśmy się zainteresowała. – Demonstracyjnie na powrót wyjęła z torebki zapalniczkę i papierosy.

- Słyszałaś o takiej sprawie z połowy lat sześćdziesiątych, kiedy w jednej z piwnic we Wrocławiu znaleziono tajny schron, a w nim kości mężczyzny?

- Nie, nie słyszałam.

- Wyobraź sobie, że obok trupa było około trzech tysięcy zdjęć.

- Jakich zdjęć?

- Każde z nich przedstawiało roczne, może dwuletnie dziecko. Rozumiesz, obok trupa były trzy tysiące tych samych zdjęć! Tego samego dziecka!

Kobieta milczała. Bez zmruczenia oczu wpatrywała się w mężczyznę i nerwowo stuknęła po stole czerwonymi, tu i ówdzie obgryzionymi paznokciami.

- Mów dalej! - Nie wytrzymała naporu ciekawości.

- Sprawa była bardzo tajemnicza. - Mężczyzna uśmiechnął się. - Nikt nic nie wiedział o istnieniu tego schronu, nie miała o nim pojęcia nawet obrona cywilna. Nie wiadomo, kto do niego wchodził, a nade wszystko nie wiadomo było, kim jest trup. Kluczem do zagadki było to powielone trzy tysiące razy zdjęcie dziecka. Pojawiło się ono w gazetach, a nawet w telewizji. Nikt nie został zidentyfikowany.

- No i co?

- Ale ja już wiem, kim było to dziecko. To co, jedziesz ze mną? Coś za coś?

- No dobra, Andrzej, jedziemy. - Kobieta po raz pierwszy wymówiła jego imię.

Schowała z powrotem swe nikotynowe utensylia, wstała i kiwnęła głową. Po chwili nikogo już nie było pod rozpaloną markizą.

Patrycja schowała dwadzieścia złotych do portfela i z ulgą weszła do lokalu. Andżelika, jej koleżanka stojąca za ladą, przypatrywała się odchodzącej parze.

- Wiesz, ten starszy facet, to chyba jakiś gość z telewizji - powiedziała Andżelika w zamyśleniu. - Ja go gdzieś widziałam...

- To chyba jakiś filmowiec - odparła Patrycja. - Mówił o kręceniu filmów dokumentalnych, a na smyczy miał identyfikator z napisem „Era Nowe Horyzonty”. Andrzej Jakiśtam. Nie popatrzyłam na nazwisko.

- Coś ty, Pati! Nie spojrziałaś na nazwisko?! - Brwi Andżeliki podjechały w górę i prawie się schowały pod nierówną, modnie przyciętą grzywką. - Nie chciałaś być w telewizji? Taka laska jak ty? A podczas tego festiwalu pełno jest facetów, którzy mogą pomóc. I wcale nie trzeba od razu iść z nimi do łóżka! Wiesz, opowiadała mi Anka, no ta, wiesz, z Daytony...

Patrycja spojrzała z uśmiechem w wielkie naiwne oczy koleżanki, która - sama otyła i ubrana, jak zawsze, w dziwne falbanki - nigdy nie skąpiła jej komplementów.

- Dziewczyno - powiedziała z naciskiem, a jej uśmiech zgasł. - Niechący słyszałam, o czym ten łysy gościu rozmawiał. I wiesz, co ci powiem? Takich skurwysynów jak ten facet trzeba omijać szerokim łukiem.

PO ŚNIADANIU W WIĘZIENIU na Kleczkowskiej panował taki smród, że rozprzestrzeniał się na okoliczne ulice. Wtedy to bowiem więźniowie opróżniali wiadra z nieczystościami. Mieszkańcy okolicznych kamienic nie przeklinali ani nie zatykali nosów. Ci twardzi ludzie z polskich Kresów, którzy niedawno przybyli nad Odrę i zajęli kleczkowskie kamienice, byli przyzwyczajeni nie do takich niedogodności.

Jeden z nich włożył kaszkiet na głowę, pocałował żonę, która karmiła kaszką roczne dziecko, a potem schował do kieszeni dwie kromki chleba ze smalcem, owinięte szarym przetłuszczonym papierem używanym od wielu tygodni. Pogwizdując jakąś melodię, ruszył do pracy.

Szedł ulicą Kleczkowską w stronę Reymonta. Przeszedł obok ponurej bramy z judaszem, obok ceglaneanego muru zwieńczonego budkami strażników, skręcił w lewo i zatrzymał się na przystanku tramwajowym. Obejrzał się do tyłu. Z bramy więziennej wyjechała ciężarówka. Po kilkunastu sekundach zatrzymała się na skrzyżowaniu. Kierowca uchylił okienko i wyrzucił papierosa na bruk ulicy.

Mężczyzna podniósł papierosa i pociągnął. Jakaś jejmość spojrzała z pogardą na palącego.

- Ta joj, paniunciu. - Uśmiechnął się szeroko. - Ta bieda, grajcarów ni ma, a palić się chce!

Kobieta odwróciła się bez słowa i rzuciła się, by wraz z innymi forsować drzwi tramwaju, który właśnie nadjechał, dzwoniąc przeraźliwie. Palacz wszedł do pobliskiej bramy i wykruszył tytoń z papierosa. Oprócz tytoniu w bibułce znajdował się gryps. Mężczyzna rozpostarł go i przeczytał: „Dziękuję za cebulę, jestem zdrow. Kim jest Ber Hoch?”.

Wiedział, że na ten gryps czeka pewna dystygnowana starsza pani z jego rodzinnego Lwowa.



**ALEKTO**



(...) określał ich jako Aniołów zemsty. Wiedział z doświadczenia, że owi Aniołowie są doskonałymi policjantami. Przypuszczał również, że znajdują się najbliżej niewidocznego skraju przepaści.

---

Michael Connelly, *Ciemność mroczniejsza niż noc*



---

NAD LWOWSKIM STARYM RYNKIEM wstawał świt. Różowy blask wdzierał się pomiędzy nędzne budy, w których baby zaczęły ustawić swe kociołki z barszczem i pierogami, osiadał na bańkach z mlekiem, które żydowski handlarz targał na dwukołowym wózku z mleczarni Estery Fisch, i załamywał się na daszkach kaszkietów baciarów, którzy stali w bramach i nie mogli się zdecydować, czy pójść spać czy czekać na otwarcie pobliskiego szynku na rogu, gdzie mogliby zaspokoić bombą piwa palące poalkoholowe pragnienie. Poblask jutrzeńki układał się na sukienkach dwóch dziewczyn, które – nie doczekawszy się tej nocy żadnego klienta – milcząc, wracały ze swoich stanowisk na Mostkach i znikły w bramach przy Mikołajskiej i Smerekowej, gdzie w ubogich izbach wynajmowały łóżko z parawanem. Mężczyzn, zmierzających w pośpiechu przez Wysoki Zamek do fabryki wódek Baczewskiego, różowe światło raziło prosto w oczy, lecz oni je ignorowali, wbijali wzrok w brukowaną jezdnię i przyspieszali kroku, a od ich szybkich ruchów szeleścił papier, w który żony owinęły im chleb i cebulę. Nikt z lwowskich uliczników i robotników nie podziwiał różanopalcej Eos, która rzeźbiła trójkątne dachy szpitala Sióstr Miłosierdzia, nikt się nie zastanawiał nad cyklicznością zjawisk natury, nikt nie analizował zmian subtelnych barwnych niuansów.

Podkomisarz Franciszek Pirożek, podobnie jak jego krajanie, daleki był od homeryckich zachwyków. Jadąc ulicą Kazimierzowską nowiutkim policyjnym chevroletem, patrzył z wyjątkową uwagą na swoich współmieszkańców. Szukał u nich jakichś oznak szczególnego niepokoju, wypatrywał grupki ludzi żywo dyskutujących, a nawet zbitych w niebezpieczne kupy i uzbrojonych w prowizoryczne narzędzia. Takich, którzy chcą złinczować zbrodniarza. Nikogo takiego nie widział wcześniej – ani na

ulicy Kopernika, ani na Legionów. Nie widział i teraz. Stopniowo się uspokajał, a jego wydech ulgi stawał się coraz głośniejszy. Nie było zwiastunów żadnych rozruchów. Jakież to szczęście, pomyślał, mijając Teatr Wielki i parkując przed apteką na Żółkiewskiej 4, że tę potworność odkrył aptekarz, rozsądny racjonalista, który nie miota się po podwórku i nie wrzeszczy, budząc wszystkich dokoła!

Pirożek wysiadł z samochodu, rozejrzał się dokoła i poczuł ścisk w gardle. Widok posterunkowego przed apteką nie uszedł uwagi okolicznych mieszkańców, którzy stali wokół i głośno, a nawet dość zuchwale i obcesowo zastanawiali się nad poranną obecnością w tym miejscu stróża prawa. Ten zaś spozierał na nich surowo spod daszka czapki i raz na jakiś czas robił srogą minę, uderzając pałką o dłoń. W tej dzielnicy policjanci nie wzbudzali respektu. Bywały czasy, że musieli chodzić środkiem ulicy, aby uniknąć wciągnięcia do bramy i pobicia. Toteż posterunkowy z komisariatu III ucieszył się, widząc Pirożka, zasalutował mu i przepuścił go do apteki. Ten wiedział, dokąd ma iść. Skierował się za ladę z przestarzałym telefonem, przeszedł przez ciemną sień, potknął się o skrzynkę, w której leżała zardzewiała waga apteczna, i wszedł do kuchni mieszkania zajmowanego przez aptekarza i jego rodzinę na tyłach.

O ile aptekarz, pan Adolf Aschkenazy, zachowywał się – zgodnie z przewidywaniami Pirożka – bardzo spokojnie, o tyle jego żona nie miała w sobie nawet kropli jego zimnej krwi. Siedziała przy stole, szczupłe palce wciskała w papiloty, otaczające jej czaszkę jak czapka narciarska, i głośno zawodziła, potrząsając głową. Jej mąż otaczał ją ramieniem i podsuwał pod usta szklanekę – jak można było poznać po zapachu – z naparem waleriany. Na ogniu podskakiwał czajnik. Para zasnuwała okna, co uniemożliwiała podglądanie gapiowi, któremu udało się umknąć uwadze posterunkowego na zewnątrz. Zaduch był dławiący. Pirożek zdjął

kapelusz i otarł czoło. Pani Aschkenazy wpatrywała się w niego z takim przerażeniem, jakby oto ujrzała diabła, nie zaś rumianego, zażywnego i wzbudzającego na ogół zaufanie funkcjonariusza. Pirożek mruknął słowa powitania i odtworzył w pamięci rozmowę telefoniczną, jaką przeprowadził z panem Aschkenazym pół godziny temu. Aptekarz opowiedział wtedy wszystko bardzo spokojnie i szczegółowo. Pirożek nie musiał go zatem pytać teraz o to samo i to w dodatku w obecności wystraszonej żony i ciekawskiego przyklejonego do szyby.

- Gdzie jest wyjście na podwórko? - zapytał Pirożek.

- Przez sień i do końca, panie policmajster - nieoczekiwanie odpowiedziała pani Aschkenazy.

Pirożek, nie zadając sobie pytania o nagłą aktywność aptekarzowej, wszedł z powrotem do ciemnej sieni. Przez drzwi obok słyszał głośne pochrapywanie. Pewnie małe, zakatarzone dzieci, pomyślał, one zawsze mają mocny sen, którego nie wzburzy nawet panosząca się wokół śmierć.

Błotniste podwórko zabudowane było z trzech stron. Od ulicy oddzielał je żelazny parkan, do którego dostępu bronili posterunkowi. Dokoła stały dwupiętrowe odrapane budynki z galerijkami. Na szczęście większość mieszkańców spała. Jedyne na pierwszym piętrze siedziała siwa kobieta na stołeczku i nie spuszczała oczu z przodownika Józefa Dułapy, który stał nieopodal wychodka i palił papierosa. „Wyszedłem za potrzebą - Pirożek odtwarzał w myślach telefoniczną relację Aschkenazego - i znalazłem w ustępie coś strasznego”.

- Dzień dobry, panie komisarzu - powiedział Dułapa i zdeptał butem niedopałek papierosa.

- Co wy robicie, Dułapa! - krzyknął Pirożek, aż staruszka podskoczyła na galerijce. - Tu jest miejsce zbrodni! Naplujcie na peta i do kieszeni! Nie zamazujcie mi tu śladów, do jasnej cholery! Co, wy przodownik jesteście czy jakiś gówniarz kontraktowy?!

- Tak jest! - odpowiedział Dułapa i zaczął szukać niedopałka pod butem.

- Gdzie to jest? - Pirożek, jak tylko wypowiedział te słowa, poczuł niesmak. Nie powinien mówić o zmarłym człowieku „to”. - No gdzie jest to ciało? - poprawił się. - Nie ruszaliście go przypadkiem? Pokazać palcem i dawać mi latarkę!

- W ustępie, niech pan komisarz uważa. Leżą tam bebechi - szepnął przodownik zaniepokojony i dodał jeszcze ciszej, wręczając mu latarkę: - Panie komisarzu, bez urazy, ale to straszna sprawa. Sprawa dla komisarza Popielskiego.

Pirożek nie obraził się. Uważnie zlustrował wilgotną czarną ziemię, aby nie zdeptać jakichś śladów. Potem podszedł do ustępu i otworzył drzwi. Smród odebrał mu oddech. Widok, jaki ujrzał w różowym świetle świtu, zaburzył mu jasność widzenia. Kątem oka dojrzał, jak staruszka wychyla się mocno za barierkę, chcąc zajrzeć w głąb wychodka. Zatrzasnął drzwi.

- Dułapa - powiedział, wciągając do płuc zepsute powietrze - usuńcie z galerii tę starą.

Przodownik poprawił kołnierz z błękitnym paskiem i ruszył z groźną miną w stronę schodów.

- No, ciocia drypcia - krzyknął do kobiety - na chawiry, ali już!

- Człowiek za potrzebą wyjść ni może! - wrzasnęła kobieta, ale posłusznie schowała się do mieszkania, przezornie zostawiając jednak stołek na galerii.

Pirożek otworzył jeszcze raz drzwi i oświetlił bladą bryłą leżącą w ustępie. Ciało dziecka było tak przekrzywione, jakby ktoś próbował wcisnąć jego główkę pod kolano. Włosy na głowie były rzadkie i poskręcane. Skóra policzków wzdymała się pod naporem opuchlizny. Na progu leżały jelita, których śliską powierzchnię pokrywały nieregularne strumyki krwi. Całe ciało pokryte było strupami. Podkomisarz miał uczucie, jakby jego

krtai stała się czopem blokującym oddech. Oparł się o otwarte drzwi. Nigdy czegoś takiego nie widział. Chore, kostropate, połamane dziecko. Ma na oko nie więcej niż trzy lata. Wyprostował się, splunął i jeszcze raz spojrział na ciało. To nie były strupy. To były rany klute.

Pirożek zatrzasnął drzwi wychodka. Dułapa patrzył na niego z niepokojem i zaciekawieniem. Z oddali, od strony ulicy Gródeckiej zadzwonił pierwszy tramwaj. Nad Lwowem wstawał kolejny piękny majowy dzień.

- Macie rację, Dułapa - podkomisarz Pirożek powiedział to bardzo powoli - to jest sprawa jak raz dla Popielskiego.

## SPIS TREŚCI

---

PROLOG 7

ALEKTO 19

MEGAJRA 115

TYZYFONA 243

EPILOG 259

Książki Marka Krajewskiego w Znak

---

*Erynie*  
*Śmierć w Breslau*

Spółeczny Instytut Wydawniczy Znak,  
ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków. Wydanie I, 2010.  
Wydanie elektroniczne.



## Nowa seria autora bestsellerowych kryminalów.

Lwów, maj 1939 roku. W strasznych męczarniach ginie mały chłopiec. Wieść o rytualnym mordzie dokonany przez Żydów obiega miasto. Wybucha panika. Czyje dziecko będzie następnym? Wszyscy liczą na komisarza Edwarda Popielskiego. Jednak komisarz nie chce poprowadzić sprawy. Nie tym razem.

Widmo zbliżającej się wojny i paralizujący strach rządzą Lwowem, tylko jego przestępczy świat wciąż żyje według starych reguł. Każdy zna tu Popielskiego, który działa wyłącznie nocą. Nikt nie chce z nim współpracować. Nikt nie chce mu się narazić.

Miasto przesiąknięte zbrodnią przesłonił cień Erynii, bogiń zemsty.

**Marek Krajewski** – pisarz, tłumacz, filolog klasyczny.

Jest autorem bestsellerowych powieści kryminalnych, m.in.: *Śmierć w Breslau*, *Koniec świata w Breslau*, *Dżuma w Breslau* i *Głowa Minotaura*. Jego książki ukazały się w dwunastu krajach. Jest laureatem m.in. Nagrody Wielkiego Kalibru, Nagrody Prezydenta Wrocławia, Paszportu „Polityki”.

[www.marek-krajewski.pl](http://www.marek-krajewski.pl)

